



KWISTOSZ

Napisał: Sławomir Mii

A do tego ten cholerny wirolot, czy jak to się nazywa, w żaden sposób nie chce się rozlecieć. Robię co mogę: latam wyłącznie po pijanemu, ląduję najtwardziej jak mogę, zostawiam otwarty na deszczu – a on ani drgnie. Zadnego zadrapania, ani śladu rdzy ... Wiadomo, ichni wyrób.

Latać to niby nie muszę, bo gdzie i po co, zwłaszcza po wykonaniu zadania, ale skoro już można... Przynajmniej odpocznę sobie w ciszy i spokoju, popatrzę na to, co zrobiłem ... Dlaczego w ogóle nie wyniosę się gdzieś na stałe, skoro mam do dyspozycji całą Ziemię, a do tego środek lokomocji? Nie raz próbowałem, ale jak długo można wytrzymać nie mając do kogo gęby otworzyć? Miesiąc, dwa? Mój rekord to dziesięć tygodni bez dwóch dni. A później zawsze musiałem wpaść do domu, chociażby na kilka dni. I gdyby tylko nie ten jeden błąd, który zrobiłem...

Nawet nie to, że nie lubiłem swojej starej, choć nie daj Boże nikomu drugiej takiej. Jak się człowiek przyzwyczaił, to i znieść ją jakoś szło. Nie powiem, zrzedziła żdziebełko na tytoń i dziewczyny, a jak już przywykła – to na karty i alkohol. Kto by tam jednak babę zadowolił? Zawsze będzie marudzić. Uspokoiła się trochę, gdy wszyscy odlatywali, a nasz pomiot na czele. Wiedziałem, czego się boi. Myślała, że i ja skorzystam z okazji, żeby dać nogę. Ale gdzie mi do tego było? Pewnie, wyglądało to nawet zachęcająco. Nasi sześciopiętli goście obiecywali wszystko – po planecie na łeb, a na każdej z nich cud-miód. Kto by się nie skusił? Wszyscy polecili jak w dym, a i nasi nie dali się długo prosić. Synowie to nie raczyli się nawet pożegnać. Córki owszem: pokrygowały się, pokreściły tyłkami, cmoknęły rodziców w rękę i tyle ich było. A ja? Gdzie tam staremu, schorowanemu chłopu do szukania sobie nowego miejsca?

I tak, ani się spostrzegłem, jak na całej Ziemi zostaliśmy tylko we dwoje – ja i moja stara. Na

początku to było nawet fajnie. Pomyśleć tylko! Każdy bar otwarty, do każdego lokalu wchodzisz bez krawata i w zagnojonych butach, a wszędzie pełne lodówki i półki. Do sklepów wchodzisz, jak do siebie; sprzęt wideo, kasety, taśmy – każda rzecz, o jakiej tylko można zamarzyć. A automaty do gier? Wrzucasz ile masz, wygrasz – dobrze, przegrasz wszystko – rozwalasz automat, wydstajesz całą gotówkę i idziesz grać na następnym. Życie nie umiera! Bawiłem się tak ze trzy lata, aż wszystko mi się znudziło, no może tylko poza napojami. Ale tych miałem całe hektolitry w najbliższym miasteczku. No i z samych nudów zacząłem kombinować...

W tym to nigdy nie byłem zbyt mocny, ale coś mi w końcu zaświtało. Próbowałem to nawet opowiedzieć swojej... – Wiesz co, matka? Załatwili nas.

– Czego? Kto niby?

– Załatwili nas. Od początku im o to chodziło. Wysłać ludzi w diabły, a później, bez żadnych kłopotów zająć Ziemię. I pewnie tylko my im tu jeszcze zawadzamy. Ciekawe, co z nami zrobią...

– Tfu! Znow się nachlał od rana – splunęła i na tym zakończyła się dyskusja. Ale ja wiedziałem swoje.

Dobre dziesięć lat wpatrywałem się w niebo, aby nie przegapić momentu ich ponownego przylotu. W końcu to mi historia powierzyła zapisanie ostatniej karty w dziejach naszej planety.

Doczekałem się. Musieli być diabło pewni siebie, bo lądowali wielkim, rżęsiście oświetlonym pojazdem kosmicznym i w dodatku na samym środku tego zagonu, co to stara kiedyś sadziła rzepe. Byli jeszcze wysoko, gdy skoczyłem do stołody po gąsiorek i samopał, choć tak naprawdę to wcale nie wierzyłem, aby jedno czy drugie miało mi pomóc. Chciałem tylko nie oddać Ziemi bez walki.

I nie oddałem.

Okopałem się na miedzy, urządziłem wygodne stanowisko strzeleckie, gąsiorek postawiłem przy nodze i rozpocząłem Ostatnią Bitwę. Wystrzelałem w ich pojazd – najpierw w powietrze, później już na Ziemi – cały zapas amunicji. Nie wyrządziłem im za wielkiej krzywdy. Gorzej, sam omal nie oberwałem w łeb czołowym rykoszetem. Nic. Swoje zrobiłem i z podniesionym czołem tudzież białymi kalesonami na kiju mogłem poddać planetę przeważającym siłom.

Nie byli to ci sami, co wtedy. Teraz przylecieli tacy jakby skrzydlaci. Nie, skrzydeł nie mieli, ale coś z ptaków w nich było. Okazało się jednak, że są z tej samej paczki. I ci poprzedni, i obecni, i podobno jeszcze cała masa innych to coś w rodzaju naszej dawnej Federacji, ale już nie krajów, a całych planet. Niech im będzie. Przynajmniej umieli człowieka uszanować, a może i czuli respekt po spotkaniu, jakie im zgotowałem. Zaproсили mnie do środka, posadzili, poczęstowali i dopiero wtedy zaczęli nawijać. I od razu zrobili ze mnie durnia. Okazało się, że to nie jest żadna inwazja, że przylecieli w pokojowych zamiarach. A zatem i moja obrona straciła nieco na swym historycznym wymiarze.

Niewiele zrozumiałem z ich przemowy, ale tekst z grubsza pamiętam. Brzmiało to jak dawne kazanie kościelne...

... „Nikt was nie wydziedzicza. Ziemia była, jest i będzie kolebką ludzi, twórców oryginalnej cywilizacji, jednej z przodujących w tym ramieniu spiralnym Galaktyki. A że wasza macierzysta planeta osiągnęła już prawie swój kres ekologiczny, że jest wiele – nieograniczona wręcz liczba – innych, o równie dogodnych dla was warunkach życiowych i w dodatku w dziewiczym stanie, to dlaczego nie nieść pochodni waszego rozumu dalej i dalej? Tak też zrobiliście. Ale Ziemię należy zachować jako pomnik, pamiątkę dla potomnych, a z czasem obiekt turystyczny i może nawet cel pielgrzymek. Jeżeli już nikt poza wami nie chce na niej mieszkać, należy zrobić z niej muzeum, czy raczej skansen. I bardzo dobrze, że zdecydowałeś się pozostać. Zostaniesz jego opiekunem ...”

– Niby ja? – przestraszyłem się. – Co mam robić?

– Dbać o Ziemię.

Szczęście, że zabrałem ze sobą gąsiorek. Tak mnie ogłupili, że dopiero po kilku łykach przejaśniało mi trochę w głowie.

– Za ile? – spytałem dla przeczekania. Może wzajemne targi zajmą tyle czasu, żebym mógł się zastanowić, co jest grane. Niestety, musieli być na to przygotowani.

– Za nic. Wszystko masz pod ręką, zapasy całej planety. Od nas dostaniesz tylko niezbędny sprzęt.

– No, powiedzmy — zacząłem być ustępliwy z braku argumentów, a i z obawy przed zadziera-

nieniem z nimi. – Ale jak mam dbać o wszystko? Ziemia jest spora.

– Masz dbać tak, aby nie zaginęły pomniki, pamiątki po kolebce cywilizacji ludzkiej. Rozumiesz?

Jeszcze kilka łyków i coś tam zacząłem sobie kojarzyć, głównie z historycznych komiksów i filmów...

– Aha, to takie, na przykład, piramidy egipskie nie powinny ulec zniszczeniu, tak?

– Dokładnie.

– A niby, co mam z nimi robić? Omiatać je z piasku, czy jak? – teraz byłem już w domu. Wiedziałem o co chodzi cwaniakom. Ja tu zadbam o wszystko, naharuję się jak wół, a później oni będą pobierać opłaty od turystów! – I pewnie jeszcze innymi miejscami będę musiał się opiekować? Nie, raczej nie piszę się na to.

– Poczekaj. Rzeczywiście takich miejsc są tysiące, ale o każde z nich będziesz musiał zadbać tylko raz, a twoja praca polegała będzie głównie na ich wyszukaniu.

Skołowali mnie ostatecznie. Musiałem się zgodzić.

Rzecz okazała się jednak dość prosta. Dali mi dwie rzeczy: ten cholerny wirolot, czy jak go tam zwać, a którym mogę oblecieć Ziemię chociażby i w godzinę oraz puszkę czegoś takiego, o czym opowiadali mi z dziesięć razy, ale dla mnie pozostało to tylko zwykłą puszką aerozolu. No, może nie tyle puszką, co raczej baryłką, tak z pięć galonów na oko, ale dziwnie lekka, jak na taką pojemność. Jedną ręką dawało się nią operować! A było to rzeczywiście cwane urządzenie; jak psiknęło się z niego na coś, to to coś stawało się niezniszczalne. Jakaś warstwa ochronna, czy co? Gdy uczyli mnie pilotażu, to oblecieliśmy z pół Europy i rozpyliliśmy to na Rzym, Ateny, kawałek doliny Renu i kilka innych miejsc.

Gdy umiałem już obsługiwać oba urządzenia, powiedzieli mi, co mam robić naprawdę. Ich nie interesuje nic na Ziemi, za wiele spraw i planet mają na głowie – tak powiedzieli, gdy nadal usiłowałem się wykręcić, powołując na zły stan zdrowia. Nie szkodzi. Mam odtąd oceniać co warto zachować na zawsze. I tam rozpylać. Wzruszyłem ramionami, gdyż z miejsca przyszło mi do głowy, że nie będę się zastanawiał nad niczym, tylko latał i rozpylał na prawo i lewo. Ale jakby czytali moje myśli...

– Wybierać musisz. Pojemnik ma ograniczoną zawartość. Całej Ziemi nie utwalisz, a tylko to, co najważniejsze. Wybieraj! Masz wiele lat do dyspozycji.

– Ale co wybierać? – nalegałem zrozpaczony, gdyż widziałem już, że czeka mnie gorszy od fizycznego, bo umysłowy wysiłek. – Zostawcie jakiś spis obiektów, albo chociaż instrukcję.

- To ty jesteś człowiekiem. Wybieraj to, co cenne dla ciebie. A w razie wątpliwości masz przecież do dyspozycji wszystkie książki, przewodniki, katalogi, encyklopedie...

I na tym stanęło.

Przez dobry tydzień po ich odlocie przeklinałem swój los, ich, siebie a najbardziej swoje zadanie. Jak mogłem dać się tak ogłupić, ja – ostatni obrońca Ziemi. A przecież nasze starcie było remisowe, czy nie? I ja, i oni wyszliśmy z niego cało, a więc czysty remis. I zamiast to wykorzystać, postawić jakieś warunki, potakiwałem tylko i dałem się wziąć na etat, bez żadnej płacy w dodatku. „Wszystko tu masz” – mówili. Pewnie, że mam. Ale tyle to i bez nich miałem. A może gdzieś indziej, za taką samą robotę płacą i to w zupełnie innej, tej ich federacyjnej walucie? I tylko ja jestem frajerem. Nie...

Łatwo jednak powiedzieć „nie”, ale gdy się pomyśli o ewentualnej kontroli? A co ich kosztuje przylecieć i sprawdzić? Nawet to samo powiedziała stara, gdy już opuściła piwnice, w której zamknęła się na pierwszy widok statku gości. Chociaż tylko ten zysk – nabrała dla mnie pewnego respektu, a przynajmniej zrzędziła już o ton ciszej.

Niechętnie, bo niechętnie, zabrałem się powoli do roboty.

Na początku była to nawet całkiem fajna zabawa. Pomyśleć tylko: wsiadam w wirolot, uruchamiam, na pokładowej mapie rysuję trasę lotu i już – stara zostaje kilka tysięcy kilometrów z tyłu. A jak bała się go! Zaproponowałem jej kiedyś przejażdżkę, to aż się zapłula ze złości. Z „puszką” obchodziłem się ostrożnie. Kombinowałem jak to działa, bo działała – przekonałem się odwiedzając ponownie Ateny i Rzym. Myślałem najpierw, że tworzy jakąś warstwę ochronną nad wybranym obiektem. Znaczący, nie dopuszcza powietrza, grzybów, bakterii czy innych szkodliwych czynników. Ale nie, to działało w sposób znacznie bardziej wymyślny... Spodobało mi się kiedyś ZOO w Hamburgu, to opryskałem je z każdej możliwej strony. I co? Jak przyleciałem tam po dwóch latach, to wszystko było bez zmian. Żywe nadal, ale nic nie urosło nawet na cal. Skąd wiem? Bo dobrze się za pierwszym razem przyglądałem. I jak lwica karmiła wtedy trzy młode, a jedno z nich z czarną łatką na grzbiecie, to karmi je do dziś. Niczego więcej nie dowiedziałem się o działaniu tego środka.

Jak się rzekło, najpierw latałem trochę z ciekawości, a trochę ze strachu. Później głównie z nudów. Co miałem lepszego do roboty? Oglądać starą? Zacząłem też – jak radzili przybysze – studiować różne materiały. Na początku niesporo mi szło. Nigdy nie byłem zbyt mocny w czytaniu. Ale z czasem nabrałem wprawy. I muszę się pochwalić, że może nie stałem się jakimś wybitnym

znawcą, ale zacząłem z lekka orientować się w zabawkach i co ciekawszych okazach przyrody. Ciekawie było. Najpierw znajdę fotografię czegoś, później szukam na mapie, gdzie to jest. Programuję lot i rzeczywiście jest. I człowiek ma radość prawie z niczego.

Po kilkunastu latach wszystko miałem z grubszą załatwione. Co ciekawsze rzeczy zostały „utrwalone”. Latałem jednak dalej, już tylko na chybił-trafił. Wybierałem różne, odludne niegdyś rejony – dżungle, góry, pustynie – i od czasu do czasu coś tam znajdowałem. Jakieś rzeźby, resztki świątyń czy innych budowli, napisy na skałach. Możliwe, że niektóre z tych rzeczy były wcześniej w ogóle nieznanne; o większości nie mogłem znaleźć żadnych wzmianek w książkach.

Moja praca skończyła się zupełnie naturalnie. Po pierwsze, znudziła mi się. Po drugie, obleciałem już prawie wszystko i nic więcej ciekawego na Ziemi nie znalazłem. Po trzecie wreszcie – taki właśnie zakres pracy musieli przewidywać moi zleceniodawcy; w baryłce bulgotały już tylko resztki na dnie.

Przez wszystkie te lata utrzymywałem ze swoją starą dość luźny kontakt. Przeważnie nie było mnie w domu, toteż i poważniejszych powodów do scysji nie było. Spokój, cisza... Nieszczęście nastąpiło wtedy, gdy już na dobre osiadłem z powrotem, a wycieczki podejmowałem tylko sporadycznie.

Jako się rzekło, aerozolu było już tyle, co nic. Rozejrzałem się więc po najbliższej okolicy. Akurat z milę od domu był taki fajny kawałek lasu. Nic szczególnego: brzozy, buki, kilka sosen, kawałek strumyka z niezapominajkami na brzegach... Ale lubiłem zawsze to miejsce. Utrwaliłem je więc dla potomności. Że stara przydybała mnie akurat na tym, najmniej mnie obeszło. Ale podejrzewałem nawet, że coś tam sobie skombinuje. A jak nawet, to co?

Gdy w trzy dni później obudziłem się w nocy i zobaczyłem, że rozpyła na siebie resztki z pojemnika, obróciłem się tylko spokojnie na drugi bok. „A trwaj sobie w zgrzybiałości swojej chociażby i po Sądny Dzień” – pomyślałem.

Podejrzeń nabrałem po kilku tygodniach, gdy zorientowałem się, że drobne skaleczenie środkowego palca uporczywie nie chce się goić. Pewności nabrałem dopiero po paru latach. Niestety...

Oczywiście, że po tym, co mi zrobiła formalnie wyniosłem się na dobre z domu i po dziś dzień tułam się po świecie, co jakiś czas zmieniając miejsce pobytu. Wracam jednak regularnie; w końcu trzeba czasem zamienić z kimś kilka słów

Jedno szczęście, że w kościach nie łamię mnie bardziej niż kilka wieków temu. A zawsze się tego obawiałem!